

Starorzecze. Inteligencja pracująca

Słowo *inteligencja* na oznaczenie sfery ludzi wykształconych, żyjących z pracy umysłowej, myślących kategoriami dobra ogólnego, o wspólnych wzorcach kultury, poczuciu misji i społecznym prestiżu, narodziło się w języku polskim. Wprowadzili je w 1844 roku Karol Libelt (filozof, polityk i żołnierz) oraz Bronisław Trentowski, także filozof, twórca systemów *filozofii narodowej* i *pedagogiki narodowej*. Tak twierdzą opracowania polskie.

Borys Tumanow, publicysta rosyjski, reprezentuje odmienny punkt widzenia:

Słowo „inteligencja”, które w połowie XIX stulecia spopularyzował bardzo średni pisarz rosyjski Piotr Boborykin, było według niego epitetem, jeśli nie obelżywym, to z pewnością lekceważącym. Oznaczało specyficzną grupę społeczną – świetnie wykształconych, ale zubożałych szlachciców oraz ludzi prostych, którzy ukończyli kursy uniwersyteckie za cenę ogromnych wysiłków i wyrzeczeń.

W odróżnieniu od Europy Zachodniej, w której wolne zawody (...) powstawały jako racjonalna odpowiedź na obiektywne zapotrzebowanie rozwijającej się gospodarki, w Rosji ci ludzie byli w istocie banitami, swego rodzaju zjawiskiem pozaklasowym. Z punktu widzenia społeczeństwa byli czymś absolutnie bezużytecznym. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że rosyjscy inteligenci byli i pozostają profesjonalnymi idealistami. (...) Bierdajew celnie zauważył, że rosyjska inteligencja nie potrafi żyć w teraźniejszości, lecz jedynie w przyszłości, czasem w przeszłości. Dlatego każde zderzenie z rzeczywistością zmusza inteligenta, by stał się oportunistą.

Wśród inteligentów byli ludzie gotowi za swoje przekonania iść na katorgę, a nawet na szafot, ale ich ofiara była jedynie osobistym heroizmem, który nie wywierał najmniejszego wpływu na tradycyjnie obojętną znakomitą większość ich rodaków. Niestety inteligentów polegało i plega na tym, że ich pięknoduchostwo ma, by tak rzec, charakter kameralny i kompletnie abstrakcyjny. Przede wszystkim dlatego, że (...) nasi inteligenci w gruncie rzeczy nie mają pojęcia o rosyjskim społeczeństwie i jego realnych problemach, a tym bardziej o sposobach ich rozwiązywania. To dlatego inteligenci-narodnicy osiedlali się na wsi, szczerze wierząc, że własnym przykładem potrafią zmienić ukształtowaną przez stulecia psychikę i obyczaje rosyjskich chłopów.

Nie sposób zaprzeczyć, że rosyjski inteligent jest prawie zawsze człowiekiem uroczym i czarującym. Wykształcony, czytany, życzliwy, wielkoduszny, dowiecipny. Ale jako istota społeczna nie nadaje się do niczego.¹

W XIX wieku inteligencja rosyjska i polska (zwłaszcza z zaboru rosyjskiego) to były, z oczywistych względów, naczynia połączone. Silniej i wielostronniej, niż się dziś wydaje. Ale spójrzmy wyłącznie z naszej perspektywy.

Inteligencja polska pierwszej połowy XIX wieku, warstwa społeczna na tyle wyrazista, że trzeba ją było nazwać nowym terminem (natychmiast się przyjął,

w odróżnieniu od innych pomysłów językowych Libelta i Trentowskiego), składała się przeważnie z młodzieńców, którzy na skutek różnych kataklizmów po tracili majątki, szukali więc chleba w wojsku, służbie cywilnej i wolnych zawodach. Czasy saskie, stanisławowskie, napoleońskie i późniejsze, pełne wojen, powstań, rekwizycji, pożarów, dwuwładzy, zsyłek, przesuwania granic i głębokich zmian gospodarczych, jak uwłaszczenie chłopów albo początki przemysłu, zrzuwały wielu szlacheckich synów.

Ich etos, poczucie przynależności do elity, misja społeczna mieszały się z niepewnością jutra, biedą. Pannicze w dziurawych butach żyli z dnia na dzień, marzenia i wizje zastępowały im rzeczywistość. Przede wszystkim marzenia o Polsce niepodległej.

To głównie oni uformowali trzon polskiej inteligencji pierwszej połowy XIX wieku. Patrioci pochodzenia cudzoziemskiego, żydowskiego i plebejskiego dołączali do nich, starając się, mniej lub bardziej udanie, przejmować szlacheckie wzory, a dopiero w następnej kolejności tworząc swoje.

Lwowski „Dziennik Literacki” w 1861 roku za najważniejsze przymioty inteligentów uznał wykształcenie i wolę służenia narodowi. Obie cechy traktowano nierozłącznie i nie wyobrażano sobie, że mogłoby być inaczej.

Nie da się zrozumieć kultury polskiej ostatnich dwóch stuleci bez przyjrzenia się tej szczególnej sferze. Przykład pierwszy z brzegu: Aleksander Głowacki. Pannicz z Lubelszczyzny, ranny w powstaniu styczniowym, osiadł w Warszawie, wrósł w miasto, został dziennikarzem i pisarzem. Nie cierpiał arystokracji, wyśmiewał szlacheckie fupy i próżniactwo. Lecz ów pozytywista, wymiatacz feudalizmu, współczujący biedakom, warszawiak z kośćmi przybrał literacki pseudonim od rodzinnego herbu – Prus. Dlaczego?

Marian Bobiński, mój pradziadek, także ranny w powstaniu styczniowym, wyzuty z majątku, do końca życia gryziopiórek na marnej posadzie, wiedział jedno – jego dzieci winny skończyć gimnazja, a potem, jeśli możliwe, studia. Była to jego prywatna wojna z caratem. Dziękuję, nieznany pradziadku, wykształcona babcia to dla wnuka wielkie dobrodziejstwo.

Babciu, co znaczy idiosynkrazja?
 Babciu, gdzie się odrzuca wyloty kontusza?
 Babciu, gdzie leży Albion i dlaczego Albion jest dumny?

Babciu, jak się pisze *nąpszyklad*?

Media propagują akcję *Cała Polska czyta dzieciom*. Znani aktorzy czytają, a wypożyczone dzieci siedzą w studiu na kanapie, ogromnie przejęte. Telewizja bywa sugestywna, a nuż ktoś z widzów da się porwać, uzna pomysł za odkrywczy i poczyta swoim dzieciom naprawdę. Choć akcja niestety ma to do siebie, że dziś trwa, jutro niekoniecznie. U nas w domu wieczorne czytanie było czymś oczywistym, jak prawo przyrody. Ogiś czytano babci, więc ona czytała wnukom. Należało się nam jak psu micha. Protestowaliśmy energicznie, gdy z jakiejś przyczyny trzeba było iść spać bez wieczornej porcji. Jęczyliśmy z bólu, gdy babcia oznajmiała, że Bar wzięty, los Heleny niewiadomy, ale wszystko będzie dobrze, więc na dzisiaj dość.

Każdy paroksyzm historii, każdy proces społeczny i gospodarczy, od rozbiorów aż do Polski Lubelskiej, odwirowywał paniczów na miejski bruk. Najobficiej po powstaniu styczniowym i pierwszej wojnie światowej. Ostatni raz w 1944/45 roku. No, i źródło zasypałe. Kolejne pokolenia inteligentów, począwszy od mego, to zupełnie inni ludzie. Nie wartościuję – mówię jedynie, że inni.

Zaś niedawna elita, warstwa przywódcza, najlepiej wykształcona, ci, którzy w czasie zaborów ani na chwilę nie wyrzekli się idei wskrzeszenia Polski i usiłowali na różne sposoby, z różnym skutkiem zarazić nią chłopów, a w dwudziestoleciu podjęli gigantyczny trud budowy i scalania państwa – nagle, u siebie, po zwycięskiej wojnie, mieli przepraszać za swoje pochodzenie i w ogóle wstydzić się, że jeszcze żyją. *Schylkowcy*. Nie wdaję się w rozważania, czy zagłada tej sfery w drugiej połowie XIX wieku była dla narodu szczęściem czy nieszczęściem. Bo niektórzy twierdzą, że wielkim szczęściem. Tak czy owak, niepodobna zrozumieć czegokolwiek z dnia dzisiejszego, jeśli zignoruje się ich istnienie. Ponieważ we współczesnych Polakach nieustannie tkwią szlacheckie i antyszlacheckie stereotypy, etos szlachecki oraz antyszlacheckie fobie. Na setki sposobów. Wprost, albo *à rebours*. Zwykle jest to mieszanina, niekiedy fascynująca, cokolwiek nostalgiczna. Często kiczowata, jak choćby współczesne wille stylizowane na dworki albo obyczaj polowań: tak się przypadkowo składało, że niemal każdy sekretarz partii od wojewódzkiego wżwyż, pułkownik, generał, wyższy urzędnik PRL uwielbiał polowania. Niektóre sceny myśliwskie zapisały się mocno w pamięci służby leśnej i mieszkańców okolicznych wsi. Wykorzystywali je także, na ogół z mizernym skutkiem, autorzy komedii filmowych.

Za Bieruta przerabialiśmy w podstawówkach wady szlachty. Warcholstwo, pijaństwo, egoizm, wieszanie

się pańskiej klamki, nieludzki wyzysk chłopów. Sejmy, sejmiki, elekcje, trybunały jako orgie obżarstwa, opilstwa, przekupstwa, prywaty. Szlachta ciemna, arystokracja samolubna i sprzedajna. *Libenum veto* przyczyną paraliżu państwa. *Polska nierządem stoi*, król nie ma nic do gadania. No, a potem rozbiory, logiczna konsekwencja owego stanu rzeczy. Od jak dawna sięgam pamięcią, był to jeden z najczęściej poruszanych tematów na *polaku* i historii. Co bystrzejsze dzieci zauważyły, że wystarczy odklepać parę komunalów na ten temat, by dostać trójkzynę i mieć święty spokój. Wady szlachty w naszym uczniowskim języku znaczyło to samo, co łanie wody, agitowanie, głodne kawałki, wciskanie ciemnoty, picowanie, ociosywanie mgły, pieprzenie o Szopenie, przepychanie powietrza, drętwa mowa, mowa trawa, mowa do chińskiego ludu przez otwarty lufcik, pierdoły narodowyzwoleńcze, pasza objętościowa oraz wiele innych synonimów mowy pustej, bez treści (wulgaryzmy pomijam, chociaż może szkoda). Lecz trud naszych nauczycieli nie odszedł w niebyt. Staropolski szlachcic, ucieleśnienie wszystkich tzw. wad narodowych – wywijający szabelką, katujący chłopów, zapijaczony, ciemny degenerat, który przefrymarczył Ojczyznę – ów systematycznie wpajany stereotyp nałożył się na stare plebejskie fobie i mocno utrwalił. Raz po raz ktoś go przywołuje ku przestrodze, spodziewając się (i słusznie), że czuły słuchacz resztę dośpiewa w swej duszy, bo nieraz to przerabiał.

W latach 60. w Zakopanem poznałem górali chwających się bez umiaru, że są potomkami Sabały, Szymka Tatara albo nieślubnymi prawnukami księdza Stolarczyka, a cioteczny praprapradziadek był zbójnikiem i powiesili go w Liptowskim Mikuluszu za poślednie ziobro. Owe deklaracje traktowano ze zrozumieniem, były mile widziane, zgodne z normami towarzyskimi. Gdybym w tym gronie napomknął o rodzinnych dworach, pałacach i krzyżach *Virtuti Militari*, zostałbym uznany za tępaka i obrzydliwego bufona, byłbym spalony. Lecz gdybym zwierzył się na przykład, że dziadzio był słynnym kasiarzem, przyjęto by to, jak przypuszczam, z pobłażaniem. Ot, słabostka, która przecież człowieka nie przekreśla.

O schyłkowcach, wśród których upłynęło mi dzieciństwo i młodość, mówiono też *bezety*, byli ziemianie. Słowo weszło do mowy potocznej i literatury. Ci, których dotyczyło, przyjęli je za swoje. Sam czułem się bezetem, farbowanym, ale jednak, zwłaszcza na rodzinnych pogrzebach. Chociaż nie tylko. Miałem ze trzynaście lat, przeczytałem *Krzyżaków*, kilka innych rycerskich powieści i niewiele myśląc, napisałem do dziadka Lechnickiego, żeby notarialnie przyjął mnie do herbu, podobnie jak szlachta polska na unii horodelskiej przyjmowała do herbów bojarskie rody litewskie i ruskie. Odpisał, że w Polsce Ludowej nie ma takiej możliwości prawnej, lecz widzi rozwiązanie – mógłby mnie usynowić. Zapewne nieraz myślał o tym,

że po śmierci wujcia Felcia zostali sami starzy Lechnicy i ród wygaśnię. W chwilach uroczystych mówił o mnie: *ostatni z Horeszków, chociaż po kądzieli*. Ale zbyt długo się namyslał, odpowiedział dopiero po miesiącu, gdy ja już nie miałem głowy do herbów, natomiast pasjonowało mnie szybownictwo, geografia Norwegii, powstanie warszawskie i jeszcze coś. Nie nalegał. Znacznie później dowiedziałem się, że to nie komuniści, ale Sejm Ustawodawczy w 1919 roku zrównał obywateli wobec prawa, likwidując wszelkie przywileje stanowe, znosząc ochronę herbów i szlacheckich tytułów. Gdyby mi więc nie odeszła ochota, mogłem sam sobie nadać indygenat, jak to po latach uczyniło wielu świeżych biznesmenów oraz były działacz społeczny i dziennikarz z Zagłębia, który po upadku komunizmu *znalazł sobie niszę*: założył ruch monarchistyczny, nazwał się wielkim księciem i ustanowił herb Regencja, nadając go swej zasłużonej sekretarce oraz paru innym osobom. O ile wiem, nie łamał prawa, albowiem wybrał dziedzinę życia porzuconą przez ustawodawstwo polskie.

Przychodzi pora, gdy dziecku trzeba wbić w głowę kilka ważnych informacji. Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz? Ile masz lat? Moją samowiedzę uzupełniono o element dodatkowy, niezbędny w tamtych czasach:

– Gdy ktoś cię spyta o pochodzenie społeczne, mów, że jesteś inteligencja pracująca, ale masz dziadka robotnika.

Wchodzę do pokoju, babcia siedzi przy herbacie z jakąś panią. – To mój wnuk, Antosiu, przedstaw się. – Nazywam się Antoś Kroh, mam osiem lat, ulica Swarzevska 63, pochodzenie społeczne inteligencja pracująca, ale mam dziadka robotnika. Pani się roześmiała. – Bardzo ładnie, chłopczyku, bardzo ładnie. – A pani też jest inteligencja pracująca? Jeszcze głośniej się roześmiała. – Tak, jestem inteligencja. – Ale czy pracująca? Babcia rzuca karcące spojrzenie, pani znów parska śmiechem. – Owszem, pracująca – i śmieje się, nie wiadomo z czego. Inteligencja, a taktu za grosz. Staram się więc załagodzić sytuację. – To bardzo dobrze, że pracująca – mówię z uznaniem. Pani o mało z krzesła nie spada, płacze ze śmiechu, choć równocześnie poważnie kiwa głową. – Masz rację, chłopczyku, to bardzo dobrze. Jakież to rezolutne dziecko – dodaje, jakby mówiła o kimś nieobecnym.

Pochodzenie społeczne to pojęcie z ankiet personalnych pierwszego i kawałka drugiego dziesięciolecia Polski Ludowej. Szesnaście (według innych – dwanaście, jeszcze innych siedem) stron A4 z rubrykami do wypełnienia, plus szczegółowy życiorys. Gdy w 1959 roku kończyłem kurs przewodników po Warszawie, ankietę miała zaledwie cztery strony. Tuż pod nazwiskiem i fotografią 4,5x6 cm na cienkim błyszczącym papierze z odsłoniętym lewym uchem (może prawym? – ale na pewno tym właściwym), data urodzenia. Z mojej wynikało, że ani przed wojną, ani podczas

okupacji, ani w okresie utrwalania władzy ludowej nie mogłem należeć do formacji zbrojnej, partii politycznej, nie miałem pseudonimów, odznaczeń. Czy *po wyzwoleniu brał udział w pracy podziemnej? Czy, kiedy i gdzie ujawnił się?* My, młodzieńcy tamtych lat, z honorem dźwigaliśmy trud dowcipkowania bez względu na czas i miejsce, nie kłaniając się okolicznościom i nie każąc prawdom, by za drzwiami stały. Mam nadzieję, że dziś jest podobnie. W rubryce *pseudonimy* wpisałem *Yeti*, bo tak mówili na mnie w harcerstwie. *Przynależność organizacyjna do 1939 roku: Grono Aniolków. Przynależność organizacyjna w okresie okupacji: Światowa Federacja Demokratycznych Noworodków.* Pani S. z koła przewodników (lubiłem słuchać jej opowieści o polskim, sowieckim, litewskim, niemieckim i znów sowieckim Wilnie), westchnęła, spojrziała wymownie, dała nowy formularz. Gdy w 1966 roku po raz pierwszy w życiu przyjmowałem się na etat, znów miałem odpowiedzieć na pytanie, do jakich partii politycznych, formacji wojskowych i organizacji społecznych należałem: a) przed wojną, b) w czasie wojny, c) po wojnie – i znowu wydało mi się to zabawne.

A jeszcze kilkanaście lat wcześniej wypełnianie tych papierów to był marsz przez pole minowe. Personalni, czyli kadrowcy, starannie porównywali dane z życiorysu z wpisami w ankiecie. Każda, choćby pozorną sprzeczność... To samo dotyczyło ewentualnych różnic między ankietami i życiorysami pisanymi przy różnych okazjach, np. dla innej instytucji, a choćby tej samej, bo kadrowy akurat nabrał podejrzeń, więc zażądał ponownego złożenia dokumentów.

Ludzie dość szybko znaleźli sposób – robili kopie, żeby z nich przepisywać. Ukształtował się swoisty język życiorysów i ankiet, pełen ukrytych, choć powszechnie zrozumiałych znaczeń. Katyńskie wdowy pisały: *zginął podczas wojny, nigdy zaginął*, gdyż słowo to mogłoby się jednoznacznie kojarzyć.

Gdy personalnik coś wypatrzył, stawiał haka. Najczęściej czerwonym ołówkiem.

Dziś hak to znak graficzny, siedzi w każdym komputerze, używany głównie w celach estetycznych. Przed laty pełnił dwojaką funkcję:

- ✓ na liście lub wykazie (zwany ptaszkiem albo fajką, stąd czasownik *odfajkować*);
- ✓ w aktach personalnych.

Mam haka. Mają na mnie haka. Mamy na ciebie haka.

Hak – stalowy, zakrzywiony, mocno wbity w życiorys, można się powiesić albo ewentualnie odciąć. To drugie niekiedy ratowało życie, choć częściej bywało bezowocne, a prawie zawsze wstydlive. Choć znałem ludzi, którzy się odcinali, a po paru latach z hałasem wieszali na wciąż tym samym haku, gdy z narzędzia tortur zmieniał się w powód do chwały.

Zachował się brudnopis ankiety personalnej mamy z 2 maja 1951 roku. Trzydzieści sześć rubryk na sied-

miu stronach, ósma czysta (gdyby odpowiedź na jakiegokolwiek podane wyżej pytanie nie zmieściła się w rubryce, należy ją dodatkowo wypełnić na ostatniej stronie ankiety odpowiednim odnośnikiem). Poprawki, skreślenia. Pewnie długo nad tym śleczła.

6. Pochodzenie społeczne – przynależność klasowa rożdziców. (Robotnicze, chłopskie, z inteligencji pracującej, drobnomieszczańskiej, burżuazyjne). Wpisała wykrętnie: rolnicze (większa własność). Może ucieszyła się w tym momencie, że tak sprytnie wybrnęła.

7. Przynależność społeczna. (Robotnik, chłop, inteligent prac. i inne). I ręką mamy: inteligencja pracująca.

Starogrecki rzeźbiarz wyposażał posągi w atrybuty: lirę, zwój papirusu, cyrkiel lub inny stosowny przedmiot – i wszystko było jasne. *Biblia pauperum* na ścianie wiejskiego kościółka prostym, zrozumiałym językiem malarskich symboli przybliżała treści Starego i Nowego Testamentu; niepiśmienni parafianie uczyli się na niej prawd wiary i przyjmowali za punkt odniesienia na całe życie. Sztuka pierwszych lat powojennych czerpała z tej pradawnej a przebogatej tradycji. Wizerunki robotnika, chłopu, inteligenta pracującego sporządzano tak, by widz od razu wiedział, z kim ma przyjemność. Trzy postacie na plakacie. Ściskali sobie dłonie, obdarzali szczerymi spojrzeniami. W czterdziestym ósmym roku na wrocławskiej Wystawie Ziem Odzyskanych stanęła figura współczesnego Światowida o trzech twarzach: robotnika, chłopu i inteligenta pracującego. Niech dumna a silna wiara w słusność naszej sprawy socjalistycznej kieruje czynami klasy pracującej, bo tylko ona może podnieść Polskę z upadku politycznego, bo tylko robotnik, chłop i inteligent pracujący złączeni szczerym uściskiem bratnich dłoni, mogą zapewnić Polsce granitowe podstawy niepodległości kraju, granitowe podstawy dla szczęścia i dobrobytu ludu pracującego.² Robotnika najczęściej przedstawiano w podkoszulku uwydatniającym muskularne ramiona i potężną klatkę piersiową. Dzierżył młot, koło zębate albo klucz francuski nadnaturalnych rozmiarów. Chłop miał wąsy i kapelusz, a w tle łan zboża. Inteligent koniecznie chudy, poważny, w roboczym kitlu, ale pod krawatem, obowiązkowo okulary, czasem szklana kolba z zakrzywioną szyjką, niekiedy książka, nawet kilka, prawie zawsze pióro gęsie: za uchem, w kieszeni, w kałamarzu. Centralna Rada Związków Zawodowych, pas transmisyjny partii do mas, aż do czasów pierwszej Solidarności miała w godle młot, dojrzały kłos i gęsie pióro.

A przecież zbitka pojęciowa *inteligent pracujący*, tak pięknie wpasowana w poetykę socrealizmu, to zapożyczenie. *Kto poszedł na front – A kto w domu siedzi? Na ochotnika poszedł robotnik, rzemieślnik, student, inteligent pracujący. A któż pozostał, kto kryje się za plecami walczących, kto zbierać chce owoce zwycięstwa okupione naszą krwią i znojem? Znamy tych panów (...)* – pisała warszawska gazeta latem 1920 roku.³ Owych zapożyczeń, że tak to subtelnie ujmę, było więcej. Samo pojęcie

Polski Ludowej jest starsze niż PKWN, zostało przechwycone z przedwojennego słownictwa ludowców. Oficjalne zwracanie się do siebie per obywatelu, per wy, obowiązywało w Pierwszej Brygadzie Józefa Piłsudskiego, podobnie zresztą jak symbolika orła bez korony. Jesienią 1918 roku, gdy zaborcy już nie panowali nad sytuacją, a władze polskie jeszcze nie okrzepły, ludzie miejscowi powoływali oddziały samoobrony, zwane Milicją Obywatelską. Wiem, bo dziadek Lechnicki był komendantem powiatowym w Chełmie, zachowała się jego legitymacja. Milicja Obywatelska, ta powołana w 1944 roku, aby się uwiarygodnić, wzięła nazwę sprzed ćwierćwiecza, która wciąż jeszcze dobrze się kojarzyła.

Dla potrzeb agitacyjno-propagandowych chłopów podzielono: biedniak, średniak, kułak (słowo dotychczas nieznane). Biedniak przeraźliwie niedożywiony, ubrany jak strach na wróble, wąsy smętnie zwisające. Średniak w sam raz. Kułak, czyli bogacz, wróg klasowy, był łatwo rozpoznawalny po dewizce od zegarka, dynadającej na wydatnym brzuszysku opiętym kamizelką.

Rytualny dodatek *pracujący, pracująca*, którym nie obdarzano robotników, chłopów z rzadka, zaś inteligentów obowiązkowo, zapewne miał jakąś genezę, głęboki sens. Nie wiem, jaki. Prawdopodobnie była to kalka z rosyjskiego, a może chodziło o oficjalne zadekretowanie, że praca umysłowa też jest pożyteczna i godna szacunku. Albowiem dla większości nie była to kwestia oczywista, oględnie mówiąc. Większość narodu mieszkała na wsi lub pochodziła ze wsi i żywiła tradycyjny pogląd, że umysłowi to nieroby i darmożady. Jeszcze z lat 60. i 70. pamiętam pogląd, wielokrotnie wyrażany, że *warto mieć magistrata, żeby nie musieć robić*.

Inteligenci solidnego, tradycyjnego chowu odegrali wielką rolę w ruchu komunistycznym, choć mieli spory mankament: byli inteligency. *Pokutowało do niedawna w naszej publicystyce słowo „inteligentki”*. Był więc „inteligentki punkt widzenia”, było „typowe rozumowanie inteligentkie”. Podobne określenia ujemne lub ironiczne stosowano przeważnie wobec argumentów nietypowych lub niewygodnych.⁴

Bardzo łagodnie powiedziane. Kawiarniany inteligent, kawiarniany polityk pierwszego dziesięciolecia Polski Ludowej, a i późniejszy, to podejrzane, szkodliwe indywiduum, kandydat do paki. Typowym kawiarnianym inteligentem-schylkowcem był bohater serii karykatur w „Przekroju” August Bęc-Walski, czyli bęcwał, nieodmiennie przedstawiany z herbem, hrabiowską koroną i jamnikiem, inteligentkim psem; spryciarz, oszust, ale w sumie żaloszny głupty, który niczego nie pojmuje z nowych czasów, choć wszyscy wokół pojmują, aż się kurzy. Zresztą – pojęcie kawiarnianego polityka narodziło się na początku XIX wieku. Przez sto lat z okładem postać raczej groteskowa, odpowiednią rangę nadał jej dopiero Adolf Hitler w przemówieniach z lat 30., wołając, że nie ma zamia-

ru przekonywać kawiarnianych polityków, lecz porwać naród (co mu się, jak wiadomo, udało). Komuniści również nie przepadali za inteligentami. Tymi, którzy miast zakasać rękawy, całymi godzinami rozprawiali nie wiedzieć o czym, choć przecie wszystko było jasne. Cała nadzieja w nowych inteligentach pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Polska Ludowa starała się ich wykształcić, jak najwięcej i najprędzej.

Jak mianowicie się starała i czy owe rachuby się ziściły, to już zupełnie inna historia.

W pięćdziesiątym szóstym często cytowano spostrzeżenie z „Po prostu”, że największymi wrogami inteligentów byli zawsze półinteligenci. Kilka lat później zaczęto pisać o *nadprodukcji inteligencji*, zwłaszcza humanistycznej. Nim rozpadła się PRL, kwestia ta powracała parokrotnie.

Jedni inteligenci byli inteligentni, inni niekoniecznie. Ja byłem. – Pięknie wyglądasz, prawdziwy inteligentny mężczyzna – oświadczyła gospoia, gdy się jej zaprezentowałem w garniturze pod krawatem, a nawet uczesany, w dniu pierwszej komunii świętej. Pouczyła mnie, że inteligentny mężczyzna, nim się położy, wiesz marynarkę na krzesło albo się nią przykrywa, w każdym razie *zdyjma*, a krawat rozluźnia. Nogi trzyma tak, żeby buty były w powietrzu, a nie na meblu. Można też je zdjąć, jeśli warunki pozwalają.

Z okazji pierwszej komunii dostałem książeczkę opiewającą trud inteligentów. Konkretnie poety, który pisał wiersz dla dzieci, oraz malarza-illustratora. A więc praca umysłowa to również praca, czasem niewiarygodna wprost mordęga. I te koszty uzyskania. Poeta zmarnował straszne ilości papieru, zużył cały zapas piór, więc wyszedł na podwórko i poprosił kurę, by pozwolila sobie wyrwać.

*Ale kura, zła i wściekła,
z oburzeniem w głosie rzekła:*

– *Niech pan do mnie się nie mizdrzy!*

– *Pan mi piór za dużo zniszczy!*

Gęś okazała więcej zrozumienia:

Ja nie to, co taka kura!

Ja wiem, co literatura!

Szlachetna postawa, choć niezbyt praktyczna. Albowiem na następnej stronicy

smutno gęga gęsi chór.

Nie ma piór na żadnej z kur.

Całe ptactwo wokoło

chodzi goło.

Ilustrator zdał wszystkie posiadane pędzle, rozglądał się bezradnie, aż dostrzegł na podwórku ogon ciełęcia, zakończony kępą włosów.

Ileż pędzli ja oszczędzę,

mając jeden taki pędzel!

Niestety, nie pamiętam, jaka była w tej materii opinia ciełęcia, ale gdy utwór wreszcie ukończono i książeczka się ukazała, na ostatniej ilustracji obaj twórcy przejawiali objawy skrajnego wyczerpania –

wzrok błędny, strugi potu, języki na brodach, ogólny wygląd i pozycja ciał jak po libacji alkoholowej.

Przedwojenni inteligenci mieli swój wewnętrzny, wyrazisty język środowiskowy, po którym natychmiast się rozpoznawali. Niby taki jak na ulicy, w sklepie czy w szkole, ale zupełnie inny. Przyuczano mnie do niego uparcie, konsekwentnie, czasem podnosząc głos. Czyli od razu było jasne, że sprawa jest wyjątkowej wagi, bo tylko wówczas moi starsi decydowali się krzyknąć na dziecko. Nie miałem wyjścia, musiałem przywyknąć i się wdroyć. Lekcji można było czasem nie odrobić, uszu nie umyć, zabłocone buty porzucić, ale w sprawie mówienia i pisania dorośli nie pobrażali.

– Czy mogę wziąć cukierka?

– Nie możesz WZIAŚĆ, możesz WZIAĆ! WZIAĆ!

– A tatuś Marka mówi WZIAŚĆ.

– Ale ty nie jesteś tatusiem Marka i będziesz mówił WZIAĆ.

– To ja powiem tatusiowi Marka, żeby też mówił WZIAĆ.

– Broń cię Panie Boże!

– Dlaczego?

– Bo nie wypada, żebyś poprawiał tatę twojego kolegi. Byłoby mu przykro. Niech mówi, jak mu wygodniej, jak go rodzice uczyli.

– Antosiu!

– Co?

– Nie CO, tylko SŁUCHAM!

– Muszę jeszcze odrobić matematYkę.

– MatemAtykę! MatemAtykę!

– Popatrzmy na tych wróbelków.

– NA TE WRÓBELKI!

– Czy zawołać babcię?

– Nie, ponieważ babci się nie WOŁA, babcię się PROSI!

– Powiedz mi, babciu...

– Do babci będziesz mówić przez ty, gdy zostaniesz dziadkiem! Nie wcześniej! Odrobiłeś lekcje?

– No.

– Nie odrobiłeś, to siadaj i rób, ale proszę cię, nie mów do mnie po włosku (*proszę cię* znaczyło zupełnie co innego niż *proszę*; było uprzejmą, ale stanowczą formą reprimendy).

– Ale ja odrobiłem.

– Przepraszam, nie zrozumiałam. Myślałam, że nie odrobiłeś, skoro mówisz *no*. *No* po włosku znaczy nie. A po polsku tylko niekiedy coś znaczy, na ogół nic.

I tak dalej.

Było oczywiste, że pokolenie dziadków zna języki obce. Rosyjski – przecież pokończyli carskie gimnazja. Francuski był normą. Gdy na imieniny mamy, jeszcze w latach 70., niedługo przed jej śmiercią, przychodziła dawna serebryska guwernantka Andrée Bayard, wszyscy obecni machinalnie przechodzili na francuski. Było samo przez się zrozumiałe, że każdy umie. Mnie też

siłą rozpędu dodatkowo uczono francuskiego, pani Bayard i Ciocia Wanda. Straszne, bezsensowne godziny. Po co? Przecież i tak nigdy do Francji nie wyjadę, no bo jakimż sposobem?

Niemiecki. W Serebryszczach była Fräulein Truda, która wzięła się na sposób: straszyla dzieci, że jeśli źle odrobnią ćwiczenia, za karę nie wypuści Piłsudskiego z Magdeburga. Dzieci to ogromnie przeżywały, bo temat był gorący, przy stole dużo o tym mówiono. Jadzia, najstarsza z rodzeństwa, klękała i składała ręce: niech Fräulein Truda wypuści Piłsudskiego z Magdeburga! Ja bardzo proszę, niech Fräulein Truda wypuści Piłsudskiego z Magdeburga! – Więc trzeba się postarać, Hedwig... I Jadzia się starała. Piłsudski, zależnie od jej postępów w nauce, był wypuszczany z Magdeburga albo zamykany w Magdeburgu. No i skutkiem tego ciocia mówiła płynnie po niemiecku, czego omal nie przypłaciła życiem. Podczas okupacji pojechała po coś do Chełma, do starostwa, zastała tam gromadę chłopów dookoła niemieckiego urzędnika, który ni w ząb nie rozumiał, czego od niego chcą. Ciocia zaćwierkała jak szczygiełek, Szwabisko się rozpromienił, załatwił, co trzeba. Gdy wychodziła, gniewny tłum zagroził jej drogę. – Ej wy pany proklatyje, nauczyliscie się sami, a nas nie! I zatłukliby ciocię jak nic, gdyby nie przechodzący niemieccy żołnierze.

Starsi nie używali brzydkich wyrazów. To zresztą dotyczyło wszystkich warstw społecznych – jeszcze w latach 60., 70., starzy chłopci starali się nie kląć przy dzieciach. Nam też, oczywiście, zabraniano. Gdy już nieco podrosłem, próbowałem z mamą dyskutować, że czasem nie ma innego wyjścia, a gdyby brzydkie wyrazy były niepotrzebne, toby nie powstawały, bo każde słowo coś znaczy, czemuś służy.

– Przyjrzyj się bohaterom trylogii. Przecież to żołnierze. Znoszą trudy, przeciwności, zaglądają śmierci w twarz. A klną, nie używając brzydkich wyrazów. Czy ci to przeszkadza w lekturze? Mnie nie. Raz tylko któryś zawołał: całuj psa w podogonie! Sienkiewicz był dumny, że wymyślił przekleństwo, które przekleństwem nie jest.

Prus pisał o miejscu, w którym *plecy tracą swą szlachetną nazwę*. Znalazłyby się inne przykłady.

No, w jednym wypadku muszę ci przyznać rację. Jan Chryzostom Pasek opisał przypadek szlachcica Wolskiego, który służył pod Czarnieckim. Wyjechał z towarzyszami na podjazd, ale tchórz go obleciał, zbiegł z pola walki, wrócił do obozu i wojsko straszliwie potrwożył, mówiąc, że wali na nich cała moskiewska potencia. Drugiego dnia wysłannik dowódcy podjazdu przyniósł wieść: „*jutro, da Pan Bóg, komendant nasz z obfitszym, niżeli jest wysłany, gronem kłaniać będzie WMMPanu i chorągiew nieprzyjacielską rzuci pod nogi. W jednym tylko terminie mamy szkodę, żeśmy stracili w tej okazji wielkiego kawalera, towarzysza JMości Pana krajczego koronnego*”. Rzecz Wojewoda: „Niechże

będzie imię boskie pochwalone! Tego towarzysza nie straciliście, ale jutro dopiero go stracie. Biegajcie po tego skurwego syna”.⁵ Pani profesor Zofia Szmydtowa, wyobraź sobie, przygotowując nowe krytyczne wydanie Paska, poprawiła *skurwego* na *takiego* syna. Skompromitowało ją to w moich oczach. A co miał Czarniecki w takiej chwili powiedzieć? Nie pierwszy to i nie ostatni przykład, gdy historyk literatury jest głuchy jak pień na żywy język.

Zaś generalnie: kto klnie nad miarę, temu myśleć się nie chce, więc nie warto sobie nim głowy zawracać.

– A mamie nigdy nie zdarzyło się użyć brzydkiego wyrazu?

– Och, nieraz, ale mam nadzieję, że tylko w uzasadnionych przypadkach. Stryj Tadeusz trzymał w Świdrach Wielkich konie pod wierch, wyrwał się tam, gdy już miał dość Warszawy. Zapraszał mnie od czasu do czasu. Piękny wiosenny dzień, świeża zieleń, jadę stępą, tu rzeczka, tam zarośla, na łące krowy, pastuszek. Zobaczył mnie, zerwał się, pędzi, mało portek nie zgubi. Stał przy ścieżce, czeka. Szczęśliwy, rozpromieniony, bacik w ręce. Cóż to będzie za uciecha, gdy podcięty koń wierzgnie, rzuci zadem, jaśnie panienka spadnie i się potłucze! Zatrzymałam się o parę kroków i wołam: chcesz w dupę? Zamarł, oczy wytrzeszczył, mowę mu odebrało. Wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego. Więc ja tonem jeszcze groźniejszym: chcesz w dupę? – Nie – wymamrotał po głębokim namyśle. – To biegiem do krów! I wyobraź sobie, natychmiast zrobił w tył zwrot i uciekł, tylko bosa pięty migają. Dupa, synku, to słowo piękne, wielce użyteczne, ale pod warunkiem, że będziemy je chronić przed wyświechtaniem. W Serebryszczach, gdy my, dzieci, czułyśmy potrzebę kłótni, w ostateczności można było krzyknąć: *pocałuj mnie tam, gdzie słońce nie dochodzi!* Zapewniałam cię, że to robiło odpowiednie wrażenie.

Nasz rodzinny język przetykało się cytatami z literatury. Przytaczano je dosłownie albo nieco modyfikując. *Idź serdenko, bo cię trzepnę* – długo myślałem, że to prywatne powiedzonko cioci Wandy. *Bo ja rzadko kiedy myślę, alem za to chyża w dziele* – komentowała mama zachowanie cioci Jadzi. *Kończ waść, wstydu oszczędź!* – przy różnych okazjach. *Tak, tak, stary przyjacielu, będzie cham twój wnuk* – mawiała mama do dziadka, gdy odezwałem się niewłaściwie. Miałem we krwi niektóre cytaty i skrzydlate słowa, zanim sięgnąłem po książki, z których je wyjęto. To była szczególna zabawa, forma więzi rodzinnej. Możemy się przerzucać cytatami, bo są nam bliskie, my jesteśmy sobie bliscy. Przejąłem tę konwencję i lubię ją stosować, z różnym skutkiem. Wplotłem kiedyś do tekstu dom, co stał nad brzegiem ruczaju, na pagórku niewielkim, we brzoźowym gaju; pani redaktor z szacownego wydawnictwa poprawiła: nad rzeczka, na wzgórzu, w lasku brzoźowym. – Rym w prozie to proszę pana błąd stylistyczny, *ruczaj* wyszedł z użycia, przeciętny czytelnik nie zna takiego wyrazu,

a *we gaju* absolutnie puścić nie mogę. – Proszę pani, nie poprawiamy Mickiewicza. – Co, jak, Mickiewicza? – Przecież to początek *Pana Tadeusza*. – No, oczywiście, więc w takim razie cytat trzeba dać kursywą i umieścić przypis: Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, miejsce i rok wydania, strona, niby skąd czytelnik ma wiedzieć? – Myślę, że jednak znajdą się czytelnicy... – Jaki procent, proszę pana? Przypis jest dla tych, którzy nie wiedzą, a to ogromna większość, powinniśmy im wychodzić naprzeciw, na tym polega nasza misja. Nie można się zamykać w wieży z kości słoniowej ani odwracać od konkretnych realiów.

Tak właśnie się wyraziła, patrząc mi dumnie w oczy. Było jasne, że współpraca z panią redaktor będzie pasmem udręk.

Moich dorosłych wyróżniał też charakter pisma. Nie byli temu winni, uczono ich kaligrafii przemocą, w koszmarnych czasach sanacji, a nawet za caratu, po gimnazjach. Często w domach rodzinnych. Mama opowiadała, jak w biurze, był to rok tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy, może czterdziesty dziewiąty, szykując się do wyjścia, położyła na biurku list babci, żeby nie zapomnieć wrzucić do skrzynki. Przechodził kierownik, czujnie zauważył kopertę, przyjrzał się.

– Co to jest?

– To prywatny list, mojej matki.

Zmienił się na twarzy.

– To wasza matka umie tak pisać?

– Owszem, moja matka umie pisać.

– Po co ta ironia? A niby skąd wiecie, że moja matka, znakiem tego, nie umie pisać?

– Nie wiem, umie czy nie umie, nie wypowiadałam się w tej sprawie. Ale teraz proszę oddać mi list i dać temu spokój.

Przez kilka dni trochę się bała, żeby tego nie podciągnął pod walkę klasową, a w tych sprawach nie było żartów. Lecz okazał się przyzwoitym człowiekiem.

W pokoleniu dziadków znajomość ortografii była jednym z przejawów patriotyzmu, zdążyłem jeszcze poczuć resztki tej atmosfery. Bądź dobrym Polakiem, postaraj się nie robić błędów – usłyszałem kilka razy. Człowiek dwunastoletni winien być na tyle dojrzały i roztępny, żeby nie napisać *pszyjemnie*, a jeśli z niezrozumiałych powodów coś takiego się przytrafiło, była to rzecz wstydliva, uwłaczająca, jak głośne siorbnięcie zupy, pociąganie nosem czy inny przejaw braku samokontroli lub – co najgorsze – oczywisty dowód, że Antoś to jeszcze straszny dzieciuch. A fe, jak mogłeś! Można było nie umieć tego czy owego, popełnić taką lub inną niezręczność, dorośli często patrzyli przez palce na różne grzeszki – ale sady błędów ortograficznych nie uchodziło.

Według rodzinnej legendy stryj Tadeusz Rzewuski walił potworne byki również jako dorosły mężczyzna. W liście oświadczyńcowym do swego przyszłego teścia zrobił ich kilkanaście, starszy pan poczuł się sposto-

nowany, wyzwał Tadeusza na pojedynek. Kilku czcigodnych sąsiadów deliberowało nad tym cały wieczór, rano wezwało obu panów i zażądało, by odłożyli spór na spokojniejsze czasy, nie przelewali polskiej krwi, jakże potrzebnej Ojczyźnie. Bo działo się to podczas drugiej wojny światowej. Niebawem spór stał się bezprzedmiotowy; starszego pana Ukraińcy zaciukali na Wołyniu, a Tadeusz zginął w powstaniu warszawskim. Przypadłość, na którą cierpiał, została po wojnie opisana przez medyków i nazwana dysgrafią, więc już nie hańbi, zresztą podobno jest uleczalna, ostatnio nawet jakby modna. Znajomy dyrektor szkoły twierdzi, że najwięcej zaświadczeń lekarskich, przynoszonych przez rodziców pragnących ulżyć doli swych zadęczanych dzieci dotyczy dysgrafii i dysleksji.

Mama wpajała w nas, delikatnie a konsekwentnie, nawyk korzystania ze słownika ortograficznego. Dziś nie odtworzę wszystkich metod, jakich używała; pamiętam tylko zagadki, żarty, niedzielny konkurs z nagrodami. Tak czy owak, od czasu do czasu wypadało coś sprawdzić w słowniku. W latach licealnych, gdy dorabialiśmy sobie maszynopisanem, wypadało przepisać jeszcze raz całą stronę, jeśli któraś literówka miała pozory błędu ortograficznego. Później, już w dorosłym życiu, w pracy, zdarzało mi się wylapywać dyskretnie, ironiczne uśmieszki kolegów. Sprawdza w słowniku, znaczy nie wie, he, he. Ja tam nic nie muszę sprawdzać, *ortografa* mam w małym palcu, ten problem od dawna już poza mną, w szkole zawsze piątki z dyktanda, a on wielki autor, tu publikuje, tam publikuje, a pisać nie umie, he, he. I w dodatku dziwak, trzyma słownik na wierzchu, wcale się z tym nie kryje.

Przed laty na miejskim cmentarzu oglądałem, kręcąc głową, tablicę upamiętniającą pochowanych żołnierzy. Może tkwi tam do dziś. Błąd zapewne był skutkiem pośpiechu, rzecz ludzka. Powiedzmy, że nawet ktoś go zauważył, ale zbliżała się uroczystość i nie było czasu poprawiać. Zgoda. Choć widziałem ową tablicę w kilka lat po jej umieszczeniu, więc ten argument niezbyt przekonuje. Ale mniejsza z tym. Lecz wyobraźmy sobie, że prezydent miasta, jadąc na odsłonięcie, zauważył, że ma rozdarte spodnie. Z pewnością zawróciłby, w słusznej trosce o prestiż swojej osoby i urzędu. Natomiast błąd ortograficzny na poziomie szkoły podstawowej, również w takim kontekście, nie narusza niczyjego prestiżu, żołnierz nie mącą podniosłego nastroju.

W podobny sposób jak ortografię traktowano siedzenie przy stole. Łokcie blisko ciała, plecy wyprostowane, sztucze tak, a nie tak, kroić wtedy, a nie wtedy, nie sięgać komuś przed nosem, łyżka idzie do buzi, nie buzia do talerza, nie odzywać się z pełnymi ustami, milczeć, gdy mówi ktoś inny, zwłaszcza starszy. Wstając od stołu, powiedzieć dziękuję, nie szurać krzesłem. Poważnym wykroczeniem było głośne mieszanie herbaty, a już skandalem – picie ze szklanki bez uprzedniego wyjęcia z niej łyżeczki. Zobaczysz, brew sobie wypchniesz do gó-

ry, będziesz wyglądać jak Rokossowski. Groźba skutkowała, bo rzeczywiście marszałek na portretach miał prawą brew wysoko uniesioną, widać go rodzice nie przypilnowali w odpowiednim czasie. Inna, często powtarzana pogróżka, że jeśli będę za dużo mówić przy jedzeniu, moja żona będzie miała głupiego męża, trafiała w próżnię; a co mnie to obchodzi, niech się żona martwi, zresztą mamy czas. Taką dostałem wyprawkę na dorosłe życie. Minęło półwiecze zakładów żywienia zbiorowego bez noży, ale z lamperiami lub w pikasy, barów mlecznych, stołówek pracowniczych, bufetów, jadłodajni, wiejskich knajp oficjalnie zwanych gospodami ludowymi, a nieoficjalnie mordownikami lub wykańczalnikami, piwo podaje się tylko do konsumpcji, specjalność zakładu śruba, oraz eleganckich restauracji o wystroju socrealistycznym (od godz. 17⁰⁰ działalność rozrywkowa), później cepeliowskim, gierkowskim, burdelowo-mauretańskim... I tak z biegiem lat, z biegiem dni niepostrzeżenie stałem się hybrydą, arką przymierza między dawnymi a nowymi laty; w temacie sztuka jedzenia trzymam się, powiedzmy, średniej krajowej, może odrobinę powyżej, ale z dawnych czasów pozostała mi bolesna, aspołeczna przypadłość – nie jestem w stanie jeść, cierpię, wszystko staje we mnie dęba, gdy przy sąsiednim stoliku płowowłosy chłopczyk z jedną nogą spuszczoną, a drugą podwinętą pod pupę, z łokciami na stole, podparty pięścią, pije wprost z butelki, a jego śliczna siostrzyczka dzierży widelec z nabitym kotлетem i okręcając powoli a równomiernie, pracowicie go o gryza. Rodzice nie reagują, najwidoczniej uważają, że tak ma być, skoro sami jedzą podobnie. Więc uciekam wzrokiem w głąb sali mojej schludnej, niedrogiej, sympatycznej jadłodajni i chcąc nie chcąc obserwuję grupkę pań z dosztukowanymi paznokciami, *tipsami* w intensywnych neonowych kolorach. Wzburzone, rozkrzyczane, poddają druzgocącej analizie stosunki w oświacie, wymachują sztuczkami spływającymi sosem, mało sobie oczu nie powykluwają, a ich świecące paluszki rozbłyskują w jesiennym półmroku niczym noworoczne fajerwerki nad Pałacem Kultury. Zaś tymczasem moi dorośli, co do jednego, od dawna w grobach leżą.

Różyczka, starsza ode mnie o pokolenie, wychowywała się we dworze. Można przypuszczać, że zasady siedzenia przy stole wpajano jej znacznie intensywniej niż mnie. Rychło i zdecydowanie wyrwała się spod kurateli rodziny. Robiła, co chciała; w latach studenckich intensywnie chodziła po Tatrach, całymi tygodniami jadła z menażki, siedząc po turecku na trawie. Podczas obydwu okupacji, sowieckiej i niemieckiej, wiele przeszła w warunkach dalekich od komfortu, najdelikatniej rzecz ujmując. Po wojnie pracowała jako przewodniczka, wodziła świat pracy do Morskiego Oka i Doliny Kościeliskiej. Lubiła swoją robotę i podopiecznych, opowiadała po latach, jak się wzruszali i byli głęboko wdzięczni Polsce Ludowej. Stołowała się w domach wczasowych. Jadła zwyczajnie, nie wyróż-

niała się jak inne panie z jej sfery, które jeszcze w latach siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych można było niekiedy oglądać w barach mlecznych, siedzące w charakterystyczny, staroświecki sposób nad pierogami leniwymi albo podobnie wykwinłą potrawą. Otóż Różyczce, mimo jej mentalności, jej życiorysu przecież pozostał pewien drobny atawizm: nie znosiła picia prosto z butelki, uważała to za barbarzyństwo, obrzydlistwo. Zawsze nosiła kubek w chlebaku. Kiedyś pozwoliłem sobie na uwagę, że picie z butelki jest bardziej higieniczne niż korzystanie z publicznych naczyń. Spojrzała takim wzrokiem, że raz na zawsze odechciało mi się dalszej dyskusji.

Jeszcze o języku mojego dzieciństwa w kwestiach dotyczących wypróżniania. Małe dziecko, gdy chciało na nocnik, mówiło aaa. Starsze, ale jeszcze za małe, by uczynić to samodzielnie, podchodziło do kogoś ze starszych: babciu, potrzebuję. Tak nas nauczono. Form *chcę siku, chcę kupę* w dzieciństwie nie znałem. Nie robiłem siku ani kupy, lecz wychodziłem na cienko albo na grubo. Można też było usiąść na tronie albo pójść tam, gdzie król piechotą chodzi. O tym, że *chodzi się na kibel*, dowiedziałem się od pani nauczycielki w szkole, wcześniej nie. To, rzecz jasna, dotyczyło dzieci. Dorosli nie mieli takich potrzeb. Co najwyżej gość zapytał, gdzie można umyć ręce albo jak trafić do łazienki. Nie wyobrażałem sobie, żeby ktoś ze starszych powiedział, że chce siusiu.

Pan profesor Kadziński, polonista, nauczyciel jeszcze przedwojenny, zorganizował nam w gimnazjum poranek poetycki. Z wiersza Gałczyńskiego *Żona Wacicia* wykreślił fragment:

*nie myśl, że jutro oddam moc do analizy
ja jestem nad moc wyższy, jam jest metafizyk
jako nieobyczajny, nieodpowiedni dla młodzieży
(nastoletniej). W zakończeniu tego wiersza
Wacio wstaje i chodzi po mieszkaniu w gaciach,
i słysząc plusk. To pluszcze woda w głowie Wacicia
zmienił gacie na kapcie. Dziś zapewne wydaje się
to naiwne i śmieszne. Śmieć się dowoli, aż cię gęba za-
boli – mówiliśmy w dzieciństwie, gdy ktoś się z kogoś
wysmiewał.*

Ale najważniejsza cecha naszego środowiskowego języka: do dzieci zwracano się z szacunkiem. Bez niechęci czy pogardy, którą tak często słyszę na ulicy czy w sklepie i wtedy jest mi ogromnie przykro. Nie ponizano nas z przyczyny daty urodzenia, nigdy w domu nie usłyszałem, że jestem smarkacz albo gnojek. Bezceć, ryczeć, drzeć się – to były słowa z tamtej strony drzwi wejściowych. Myśmy *mówili*, nie *gadali*. Rzecz jasna strofowano, napominano, czasem ostro, ale bez uwłaczania. Ani razu nie usłyszałem od moich dorosłych: bo ty zawsze, bo ty nigdy. Ten czy tamten czyn zasługiwał na naganę, ale tylko ten, a nie inny czyn. Nie dawano mi odczuć, że sprawiam starszym fatygę samym swoim istnieniem, na przykład chorobą, że

ktoś z dorosłych się dla mnie poświęca, robi mi łaskę, bo mi czyta albo się ze mną bawi. Na moje pytania odpowiadano uprzejmie, rzeczowo. Z bardzo nielicznymi wyjątkami, gdy sytuacja była dramatyczna; dziecko doskonale to rozumie i natychmiast wybacz. Nie mówiono *klamiesz*, a co najwyżej *mylisz się*, *zapomniałeś*, w skrajnych przypadkach *minąłeś się z prawdą*. Rzecz się wyjaśniała i od nowa miałem czyste konto.

Moi dorośli się nie złościли, co najwyżej irytowali.

Oczywiście nigdy w życiu nie dostałem lania. Nie umiem sobie wyobrazić, kto ze starszych miałby to zrobić i co byłoby potem. W ogóle ludzi podzieliłbym na dwie główne kategorie: ci, których bito w dzieciństwie, i ci, których nie bito. Porozumienie jednych z drugimi wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne i tylko w sprawach drugorzędnych.

Inteligenci pracujący pracowali, to znaczy byli na posadach. Szukano głównie posad do przycupnięcia, przeczekania (jak długo, oczywiście nikt nie wiedział), a nie zawodowego spełnienia czy materialnej satysfakcji. *Lubi zarobić* – było to określenie mocno niepochlebne, oznaczało człowieka podejrzanego, niegodnego zaufania.

Radość odbudowy, zapal do pracy podobno były powszechne tuż po wojnie, ale jestem za młody, by to pamiętać. Dziadek Lechnicki i jego brat, stryj Zdzisław, stawiali na nogi wielkopolskie i pomorskie rolnictwo. Pracowali w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich, później przekształconych w Ministerstwo PGR. Dziadek organizował kursy oświaty rolniczej, wydawał pismo „Poradnik Plantatora”, stryj Zdzisław zajmował się przywracaniem do życia majątków poniemieckich. Mieli bogate doświadczenie; ich dobra były wielokrotnie strzyżone do gołej skóry w pierwszej wojnie światowej, wojnie polsko-sowieckiej, we wrześniu 1939 roku i później.

W PNZ podjęło pracę wielu niedawnych ziemian. Wybitną postacią w tamtym środowisku był Piotr Maringe, podobno despota, o którym panie powtarzały wierszyk: miałam męża, nie mam męża, bo pracuje u Maręża. Po kilku latach ruszyła fala procesów o sabotaż. Stryj dostał piętnaście lat, potem mu obniżyli. Dziadek uniknął najgorszego, nie wiadomo, z jakiej przyczyny, bo jego wina była taka sama jak stryja: przed wojną też był znanym społecznikiem, po wojnie solidnie pracował. Po aresztowaniu stryja rozglądał się intensywnie, gdzie by tu przycupnąć, dobrzy ludzie załatwili mu posadę woźnego. W głowie się dzisiaj nie mieści, w jakich miejscach lądowali wtedy wartościowi ludzie, jakie posady brali, żeby tylko zwinąć się w kłębek i przetrwać. Z tamtych lat pochodzi anegdota o bezecie, który miał obsługiwać centralkę telefoniczną w WZG, ale się nie sprawdził, bo gdy ktoś krzyczał do słuchawki: – *Wuzet-gie?*, odpowiadał machinalnie: *Non, je suis triste*.⁶ Dowcip tak nostalgiczny i autoironiczny, że przypomina najlepsze anegdoty żydowskie.

W tomiku wierszy, który przed laty należał do ciotki Maryni, przypadkiem odkryłem karteczkę o wymiarach świętego obrazka. Ciocia schowała ją między stronice; za jej młodych lat tak wkładano zasuszone kwiatki, piórka albo jesienne listki. Wierszyk, przepisany na maszynie, na pierwszym zębie czyli najciaśniej, wycięto z większej kartki. Można sobie wyobrazić, że około 1950 roku w którymś poznańskim biurze odchodziło w godzinach służbowych nielegalne przepisywanie i rozpowszechnianie tego utworu, metodą znaną późniejszym generacjom pod nazwą chińskiego powielacza.

*Demokracji się nie lękaj
mało pracuj, dużo stękaj,
nie krytykuj, nie podskakuj,
siedź na dupie i potakuj.
Nie przejmuj się swoją rolą,
bo i tak cię opierdolą.
Nie przejmuj się swoją pracą
bo i tak ci gównem płacą.
A wydajność tejże pracy
reguluje fundusz płacy.
A gdy jesteś w niskiej grupie
wolno mieć ci wszystko w dupie.
Za pięć trzecia bierz kapotę
pierdol biuro i robotę.
Tak dożyjesz starczej renty
nigdy w dupę nie kopnięty.
Żebyś z głodu nie umierał
rentę będziesz sam odbierał.
Tak nie dużo i nie mało
żeby na ziemniaki stało.
A gdy przyjdzie życia kres,
powiesz wszystkim – srał was pies.⁷*

Powyższy wierszyk nieznanego, ale przecież utalentowanego poety, powtarzano w całej Polsce i wielokrotnie cytowano, najczęściej we fragmentach, które stały się zwrotami przysłowiowymi. Nawet Kisiel napisał w „Tygodniku Powszechnym”: *Nie przejmuj się rolą, bo i tak cię potraktują*. Popadając w niewielką przesadę, można nazwać ten utwór manifestem pokolenia, hymnem narodowym inteligencji polskiej lat 1949-56. Przynajmniej tego odłamu, który wiedziony instynktem przetrwania wyzbył się potrzeb materialnych i ambicji zawodowych. Manifestem w pełni oddającym ducha czasów nazwanych później dowcipnie okresem błędów i wypaczeń.

Po upadku powstania listopadowego krążył wierszyk utrzymany w podobnym nastroju. Miał wiele zwrotek, ale w pamięci zbiorowej pozostał jedynie ułamek: *I stanęła sprawa na tem, jak pogodzić dupę z batem*. Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski⁸ podają, że ów wierszyk napisał Henryk Sienkiewicz w 1897 roku w związku z przyjazdem do Warszawy cara Mikołaja II. Przypominam sobie mgliście, że historyk Janusz B. recytował kilka zwrotek, chyba z pięć. Dupa i bat

przewijały się tam w rozmaitych konfiguracjach. Nie zanotowałem, przepraszam. A może to była ballada uliczna? Janusz trafił na nią w archiwum, badając epokę po powstaniu listopadowym, gdy wokół Warszawy budowano system fortyfikacji, a oficjalny herb Królestwa Polskiego zmieniono; odtąd obowiązywał dwugłowy orzeł rosyjski z orłem polskim na piersi. Warszawiacy mówili: *połknął, ale nie strawi*.

Dwuwersz *Czy się stoi, czy się leży, dwa tysiące się należy*, został po raz pierwszy utrwalony na piśmie w 1958 roku. Najpierw odnosił się głównie do robotników. Krótki, optymistyczny, można powiedzieć zwyczajski (w każdym razie nie tak nostalgiczny jak utwór cytowany powyżej), dawał trafną diagnozę i zarazem proste rozwiązanie. Nadciągnęła inflacja, więc pojawiła się wersja: *Czy się stoi, czy się leży na pół litra się należy* i pokrewna *Czy się stoi, czy się leży, coś tam zawsze się należy*. Podczas strajków osiemdziesiątego i osiemdziesiątego pierwszego roku pisano: *Czy się leży, czy się stoi, partia płaci, bo się boi*. Przyszedł kapitalizm: *Czy się stoi, czy się leży, pakiet akcji się należy*. Weszliśmy do Unii, wprowadzono dopłaty dla rolników i co się okazuje: *Czy się stoi, czy się leży, od hektara się należy*.⁹

Biuro, w którym mama przetrwała najgorsze lata stalinowskie, nosiło nazwę Centrala Wydawnicza Druków. Miało siedzibę przy Bielańskiej 18, naprzeciw świeżo odbudowanego pałacu Przebendowskich, czyli Radziwiłłów, w przedwojennej ruderze, jedynej zachowanej w okolicy. Tego domu dawno już nie ma. W pokoju siedziało pięć osób, pracy było dla jednej, w porwach dla dwóch. Mama zrywała się świtem, pędziła do tramwaju, nie daj Boże spóźnić się choćby minutę, dyscypliny pilnował niezwykle sumienny funkcjonariusz, wybitny fachowiec w tych sprawach, emerytowany klawisz z Gęsiówki. Podpisywała listę obecności, rozrzucała papiery w twórczym nieładzie, robiła sobie herbatę, siadała za biurkiem i do godziny piętnastej zero zero, ani minuty krócej, wyla z nudów, maskując zaaferowanie. Strasznie ją to deprymowało, opowiadała o tym babci, chciałem jakoś zaradzić, nawtykałem jej klocków do torbki i w kieszenie płaszcza, żeby w pracy miała czym się bawić. Poczula je w tramwaju, w porannym ścisku, wychwyciła dyskretne spojrzenia. Ktoś z lewej, a równocześnie ktoś z prawej wyczuł twardy, kanciasty przedmiot, jasne że rewolwer, oczywiście ubeczka. Synku, mój mężczyzno, opiekunie, bardzo to ładnie z twojej strony, że się o mnie troszczysz, ale trzeba będzie ci jakoś delikatnie wytłumaczyć, żebyś więcej tego nie robił, bo w pracy niestety klockami bawić się nie da.

Przyjechał dziadek z Poznania, mama dzieliła się wrażeniami z pierwszego dnia na nowej posadzie. Trafiła między życzliwych ludzi. To było bardzo ważne.

– Może pani w czymś pomóc? Może chce pani o coś zapytać?

– Owszem. Chciałabym zapytać, kto w tej instytucji jest partyjny?

– Dyrektor, wicedyrektor, kierownik, personalna, kierowca, a w tym pokoju jedynie pani.

– Ja?

– No, pani przysła z radia, nie znamy pani...

– A jak pan myśli, za co mnie z radia wyleli? – spytała mama i uśmiechnęła się jak po dobrym figlu.

– Panie Stanisławie – obruszyła się koleżanka zza sąsiedniego biurka – jakże można takie głupstwa wygadywać! Takie rzeczy! Przecież to po twarzy widać!

To była Loda. Przyjaźń okazała się znacznie trwalsza niż Centrala Wydawnicza Druków i dom przy ulicy Bielańskiej 18.

Zza sąsiedniego biurka wstał starszy pan. Ukłonił się staroświecko.

– Remigiusz Kwiatkowski jestem. Druki magazynowe i przewozowe.

– Remigiusz Kwiatkowski? Parasol noś i przy pogodzie?

Pan Kwiatkowski rozpromienił się. Orientalista, poeta, przed wojną twórca i redaktor gazety „Polska Zbrojna”, autor poczytnych zbiorów aforyzmów i sentencji Wschodu, siedział w CWD jak zając pod miedzą. Ale przecież ucieszył się, że jest pamiętany. Jego twórczość weszła w lud; dręcząc szkolne koleżanki, wykrzykiwaliśmy: kobiety nie bij nawet kwiatem, tylko doniczką! Była to nasza trawestacja utworu Remigiusza Kwiatkowskiego:

*Kobiety nie bij nawet kwiatem,
nie wolno, nie masz prawa,
Czyś jej kochankiem, mężem, bratem
kobiety nie bij nawet kwiatem...*

*Czyn ten pohańbi cię przed światem,
okryje cię niesława -
kobiety nie bij nawet kwiatem,
nie wolno, nie masz prawa!*

Pan Kwiatkowski parokrotnie wspominał z dumą, jak przed wojną, w Adrii, podczas jakiejś popijawy, niespodziewanie stanął przed nim Tuwim.

– Aforyzmy Wschodu? Wielkie mi mecyje, ja też tak potrafię! I zacytował:

*Nie wsadzaj szyszki w zadek,
bo ją wyciągnąć trudno.
Nietrudno o wypadek,
nie wsadzaj szyszki w zadek.*

*Naoczny radzi świadek,
co zna tę rzecz paskudną,
nie wsadzaj szyszki w zadek,
bo ją wyciągnąć trudno.*

Wkrótce mamie się polepszyło, bo w Centrali Wydawniczej Druków zorganizowano kurs języka rosyjskiego, naturalnie w godzinach pracy, zapisała się z wielką radością, uczyła się pilnie, ku zadowoleniu przełożonych, już nie było tak nudno. Pan Kwiatkowski, absolwent carskiego gimnazjum, pomagał z ochotą.

Dla rozrywki oraz z żądzy zysku, pod osłoną służbowych papierów, pisywała wiersze do „Świerszczyka”, miała tam kolegę sprzed wojny.

Panu Kwiatkowskiemu też niebawem odmieniło się na lepsze. Polityczne lody z wolna tajały, zaczął nieśmiało wierzyć, że może jednak nie pójdzie siedzieć za przedwojenną „Polskę Zbrojną”. W dodatku otworzyła się szansa wydania nowego zbiorku aforyzmów Orientu. Wybrał tytuł *Pokój to ryż, a wojna głód*, by w razie czego zasłaniać się wiadomo czym. Nie mógł się tylko nadziwić, że cenzura wyrzuciła utwór *Nie udawaj mandaryna*. Wszyscy w pokoju zachodzili w głowę, komu to przeszkadzało i jakimi drogami szło myślenie cenzora. Próbowano nawet wspólnymi siłami ułożyć na ten temat ośmiowiersz.

W roku pięćdziesiątym piątym, a może dopiero w pięćdziesiątym szóstym, ktoś doszedł do odkrywczego wniosku, że Centrala Wydawnicza Druków jest zbędna, bo urzędowe druki i formularze można produkować gdzie bądź. Szła decentralizacja, kończył się pewien etap w dziejach Polskiej Rzeczypospolitej Ludo-

wej. Inteligencja pracująca, która przez kilka lat koczołała w budynku przy ulicy Bielańskiej 18, rozproszyła się na wszystkie strony.

Przypisy

- ¹ Borys Tumanow, *Zbędni ludzie*, „Gazeta Wyborcza” nr 173.5481, 26 lipca 2007.
- ² Jednodniówka PPR i PPS, Nowy Sącz, kwiecień 1945
- ³ *Rok 1920. Wojna Polski z Rosją Bolszewicką*. Wybór i opracowanie Agnieszka Knyt. Ośrodek Karta, Muzeum Historyczne m.st. Warszawy. Warszawa 2005
- ⁴ Antoni Słonimski, *Obrona inteligenta*, Świat VIII 56
- ⁵ Jan Chryzostom Pasek, *Pamiętniki*. Opracował Roman Pollak. Warszawa 1989
- ⁶ *Vous êtes gais? – czy pan jest wesoły? Non, je suis triste – nie, jestem smutny*
- ⁷ Barbara Magierowa, Antoni Kroh, *Prywatny leksykon współczesnej polszczyzny* (w przygotowaniu).
- ⁸ Henryk Markiewicz, Andrzej Romanowski, *Skrzydlate słowa, Seria druga*. PIW, Warszawa 1998
- ⁹ Magierowa, Kroh, *Op. cit.*



Róg ul. Nowogrodzkiej i Lindleya, Kościół pod wezwaniem Dzieciątka Jezus, obok szpitala – miejsce o którym pisze Antoni Kroh w następnym tekście *Dobrze urodzony*.